

RZEMIEŚLNICY W PODKOWIE LEŚNEJ

MIECZYŚLAW EDWARD PAWLAK

1920-2000

Rzemieślnik Mistrz Szewski

Mój ojciec urodził się w Stubicy Starej jako piąte dziecko Emilii z Woźnickich (1887-1986) i Piotra Pawlaka (1887-1950). Miał starsze rodzeństwo: Janinę (zm. w niemowlęctwie), Józefa (zm. w niemowlęctwie), Wacława (1912-1928), Stanisława (1916-1939) oraz młodsze: Józefa (1922-1944), Stanisławę (1924-2010) i Eugeniusza (1932-2020). Od najmłodszych lat pomagał w gospodarstwie rodziców, już jako pięcioletnie dziecko pasał gęsi, później obowiązków przybierało. Najlepszą dziecięcą rozrywką i zabawą w owym czasie były galopady na końskim grzbiecie, oczywiście "na stojaka" i najlepiej na zadzie konia (taka umiejętność budziła największe uznanie u dzieciarni). Miło wspominał też kąpiele w stawie, pomimo tego, że pewnego razu, zanim nauczył się pływać, topił się i uratował go starszy brat Stach. Wszyscy chłopcy lubili też pławienie koni. Szkołę podstawową ukończył w Nadarzyni, gdzie po przeprowadzce ze Stubicy Starej osiedli rodzice ojca. Po kilku latach Piotr i Emilia przenieśli się do Kukłówki; ostatecznie kupili ostatnie, trzecie gospodarstwo, w Stubicy Kolonii (Stubica B). Ojciec był bardzo bystrym dzieckiem, uczył się w szkole świetnie i bardzo chciał kontynuować naukę. Opowiadał, że pewnego razu w zimie, gdy zniszczyły się mu buty, poszedł do szkoły w niedzielnych butach swojej matki (sznurowanych i na obcasach). Po ukończeniu szkoły podstawowej, pomimo wielu prób i nalegań mojego ojca, dziadek Piotr nie wyraził zgody na dalszą naukę i zdecydował, że ojciec rozpocznie naukę zawodu w warsztacie szewskim w Brwinowie, u brata babci Emilii. Nauka u wuja była raczej nominalna, ojciec niewiele dowiedział się o swoim przyszłym zawodzie, był raczej darmowym parobkiem niż uczniem. Gdy zapytałam ojca, dlaczego nie uciekł, odpowiedział mi z ogromnym smutkiem, że dziadek kazał mu przysiąc, że tego nie zrobi (z podobnej praktyki, tyle, że u kowala, uciekł wcześniej jeden ze starszych braci ojca).

W wieku piętnastu lat udało się ojcu przekonać dziadka, aby pozwolił mu zmienić zakład szewski, w którym miał praktykować. Miał swój własny plan. Znalazł mieszkanie i praktykę u szewca w Warszawie na Pradze (tam były szkoły!). Ojciec opowiadał mojej siostrze Adriannie o tym człowieku z wielkim wzruszeniem i wdzięcznością; był on dla niego wzorem ojca i męża, traktował tatę jak syna i poparł jego pragnienie dalszej nauki. Ojciec poszedł do Zawodowej Szkoły Rzemieślniczej (chyba czteroletniej), gdzie był jednym z prymusów. Oprócz przedmiotów zawodowych, były tam też przedmioty ogólne. Ojciec bardzo interesował się geografią i historią, a także (już jako hobby) astronomią i lotnictwem. Lubił też przedmioty ścisłe. Zawsze niezwykle ciepło wspominał ten swój warszawski okres życia.

Po uzyskaniu świadectwa ukończenia Szkoły Rzemieślniczej postanowił spróbować zrealizować swoje największe, zdawałoby się szalone, marzenie. W 1939 roku pojechał na wschód Polski, aby przystąpić do egzaminów do Szkoły Lotniczej. Był jednak jeden szkopuł - nie miał matury! Nie wiem jak, ale udało mu się przekonać wykładowców, żeby dopuścili go do egzaminów. Uroczyście przyrzekł, że jeśli je obleje, to nie będzie mieć o nic żalu i wyjedzie. Podszedł do tych egzaminów i uzyskał... drugą lokatę! Został przyjęty i zapisał się do tamtejszego Hufca Junaków (na Wołyniu; było to szkolenie wojskowe) poprzedzającego rozpoczęcie roku szkolnego. W Hufcu była sekcja bokserska, gdzie tata z zapatem trenował. Niestety, wszystkie plany legły w gruzach - we wrześniu 1939 roku weszli Niemcy i szkoła przestała działać. Ojca, tak jak wielu jego kolegów, wywieziono na roboty do Niemiec. Sen się skończył.

Kilkuletni pobyt w Niemczech na robotach wspominał jako nieustającą ciężką harówkę u różnych "bauerów" (gospodarzy), upokorzenia i ciągły głód. Ojciec nie chciał takiego życia, a że nigdy nie brakowało mu odwagi i nie bał się ryzyka, postanowił coś zmienić. Z Niemiec, z robót, uciekał dwa razy, te kilkutygodniowe wyprawy, niestety, nie powiodły się (raz wydał go Niemcom towarzysz ucieczki, Polak). Cudem uniknął rozstrzelania, ale trafił jako więzień do karnej kompanii, gdzie był zmuszany do kopania okopów pod granicą belgijską w czasie bombardowań alianckich (amerykańskich). Brakowało żywności, ubrań, leków. Pewnego razu Niemcy szukali piekarza do pracy w pobliskiej piekarni. Ojciec niewiele myśląc, zgłosił się jako zawodowy piekarz (miał jako takie pojęcie o tym - babcia przecież chleb piekła). Miał nadzieję, że pracując w piekarni, z głodu nie zginie. Ale jakież było ogromne przerażenie ojca, gdy okazało się, że piekarnia jest w pełni zautomatyzowana. Usiłował wyjaśnić, że on owszem chleb piekł, ale wszystko robił ręcznie. Nikt się tym tłumaczeniem nie przejął i ojca przyuczono do obsługi tych maszyn. Przestał być głodny. Ale współwięźniowie prawie umierali z głodu i ojciec zaczął kraść dla nich chleb. To się niestety nie mogło udać, ojca złapano i od razu postawiono pod ścianą. W ostatniej chwili przybiegł kierownik tej piekarni i przekonał wartowników, że on te chleby ojcu dał, bo bochenki były nieudane. Od tamtej pory kierownik często dawał ojcu jakieś "uszkodzone" chleby dla współwięźniów. Innym razem tata w samoobronie uderzył młodego Niemca, swojego równolatka, syna gospodarza, u którego pracował. Oczywiście zaraz znaleźli się świadkowie tak niestychanego wydarzenia, wezwali żołnierza i ojcu znowu śmierć zajrzała w oczy. I tu zaskoczenie: za tatą ujął się ojciec tego chłopaka, potwierdzając, że to była tylko i wyłącznie wina jego syna. Kolejne wspomnienie: w trakcie jednej z ucieczek, ojca i jego dwóch towarzyszy nakarmiła i ukryła w swoim gospodarstwie (w Bawarii) Niemka, dała im jakieś ubrania i zapas pożywienia na drogę (było to Boże Narodzenie). Wiedziała, że są uciekinierami i że za pomoc im grozi jej śmierć. Ojciec zapytał, dlaczego tak ryzykuje. Odpowiedziała, że ma syna na froncie wschodnim i może jakaś tamtejsza kobieta też pomoże w jakiś sposób jej dziecku.

1 stycznia 1944 roku zginął rozstrzelany przez Niemców za pomoc partyzantom, młodszy brat ojca, Józio. Tata na wieść o tym popadł w ogromną rozpacz i jakąś szaloną chęć działania. Gospodarz, u którego wówczas pracował, zorientował się, że nieszczęście wisi na włosku i nie pozwalał ojcu wychodzić poza obejście gospodarstwa, również cała rodzina starała się jakoś uspokoić i uchronić ojca przed nieprzemyślanymi poczynaniami (sami mieli synów na froncie). W tych czterech przypadkach dobra wola ludzi, Niemców, uratowała ojcu życie. Częściej też wspominał właśnie te chwile, niż ówczesny codzienny koszmar, z którym musiał się zmagać.

W 1945 roku do Bawarii wkroczyli Amerykanie i stworzyli przejściowy obóz dla przymusowych robotników, gdzie były dobre warunki; oferowali też możliwość wyjazdu i osiedlenia się w dowolnym kraju na Zachodzie. Była tam drużyna piłki nożnej, w której tata grał.

Po zakończeniu wojny ojciec wrócił szczęśliwie do Polski, do gospodarstwa dziadków. W 1946 roku ożenił się z Salomeą z Bonikowskich i urodziły się trzy córki: Larysa (1947), Adrianna (1948) i Maria (1960). Ojcu nie udało się spełnić marzenia o związaniu się zawodowo z lotnictwem, ale zawsze starał się wspierać zainteresowania swojego brata Gienia i zachęcać do dalszej nauki. Cieszył się, że brat dostał szansę, której los jemu samemu nie dał. W czerwcu 1947 roku rodzina zamieszkała w lokatorskiej kamienicy w Brwinowie, a 1970 roku we własnym domu na brwinowskim osiedlu "Zatrudy". Od połowy 1947 roku ojciec pracował w zakładzie szewskim w Radości pod Warszawą, a od wczesnych lat pięćdziesiątych do lat dziewięćdziesiątych (prawie czterdzieści lat!) prowadził warsztat szewski w Podkowie Leśnej w lokalu wynajmowanym od p. Wolskiej (ul. Brwinowska, przy stacji kolejki WKD). Działał w Cechu Rzemiosł w Pruszkowie, którego był członkiem. Tata zawsze czuł się bardzo mocno związany z Podkową Leśną. Kochał Podkowę, lubił podkowińskich ludzi, cenił sobie wyjątkową atmosferę miasta i przedwojenny sznyt. Często toczył długie rozmowy z klientami, którzy przynosili do naprawy obuwie, zamawiali (obstalowywali) nowe buty na miarę (których fasony sam projektował) lub przychodzili na pogawędkę, czekając na przyjazd kolejki. W warsztacie zawsze stały dwa krzesła dla klientów. Tata był bardzo pogodny i otwarty na ludzi. Lubił prowadzić niezobowiązujące "small-talki" jak i poważne dysputy na najrozmaitsze tematy. A tematów nie brakowało, bo ojciec pielęgnował swoje geograficzno-historyczno-astronomiczne zainteresowania. Lubił studiować mapy nieba, w warsztacie wisiły różne mapy geograficzne, nigdy nie stracił też zainteresowania lotnictwem. Lubił również czytać i słuchać audycji radiowych, malować obrazy (nauczył się od znajomego malarza budować blejtramy, naciągać i gruntować płótno, używać farb olejnych), fotografować i grać w szachy. Zawsze czuł silną więź ze wsią, kochał zwierzęta (przynosił do domu chore psy, jeże, zające, nietoperze, dzikie kaczki i opiekował się nimi). Zmarł 29 marca 2000 roku. Jest pochowany, razem z żoną Salomeą, na cmentarzu w Brwinowie. Przy tej samej alejce jest grób jego najmłodszego brata Eugeniusza i matki Emilii.